Numer zawiera 6 stron
OPŁATA POCZT. UISZCZONA RYCZAŁTEM

DRUGĄ LISTĘ NAGRODZONYCH CZYTELNIKÓW
którzy wzięli udział w plebiscycie o tytuł »Królowej Sceny Polskiej«
PODAJEMY NA STRONIE SZÓSTEJ

Cena numeru 15 gr.
W CAŁYM KRAJU



# Muza Filmowa



Czasopismo — Ilustrowane

ROK II | WARSZAWA, DNIA 15 MAJA 1938 R. | Nr 6|30

FILM ✶ TEATR ✶ MUZYKA ✶ TANIEC ✶ RADIO ✶ MALARSTWO ✶ FOTOGRAFIA ✶ TURYSTYKA ✶ MODA ✶ KOSMETYKA

## „KRYSIA LEŚNICZANKA" w „8[15]"



LUCYNA SZCZEPAŃSKA
»słowik polski« czaruje grą i śpiewem jako tytułowa bohaterka ślicznej operetki Jarna.

Fot. Foto-Forbert

# PIETNAŚCIE LAT »FALANGI«

Kiedy piętnaście lat temu Stefan Dękierowski i Adam Drzewicki, twórcy atelier i laboratorium filmowego „Falanga", zakładali w Warszawie, w dwóch ciasnych pokoikach, swe pierwsze w Polsce laboratorium filmowe, operujące najprymitywniejszymi urządzeniami i oparte na własnoręcznej pracy właścicieli, oraz jednego ucznia pracownika i jednego chłopca, — polski rynek filmowy zdany był całkowicie na import z za granicy. Nakręcano wprawdzie kilka filmów polskich rocznie, wywołując je i kopiując w kraju, wszystkie jednak kopie filmów zagranicznych otrzymywaliśmy z za granicy, wywożąc na ten cel z kraju sumy bardzo poważne.



Dyr. Stefan Dękierowski

Dziś „Falanga" dysponuje dwoma własnymi ateliers, stanowiącymi podstawowy warsztat polskiej produkcji filmowej, przez co daje trwałe podstawy rozwojowi tej produkcji, umożliwiając zaopatrzenie kin polskich w znaczną ilość programów pochodzenia całkowicie krajowego, z drugiej zaś strony stoi w pierwszym szeregu laboratoriów, wykonywujących w kraju kopie filmów zagranicznych i tym samym dających zatrudnienie polskiemu pracownikowi nawet przy filmie obcym, który obecnie pozostawia u nas znacznie więcej pieniędzy, niż przed kilku laty.

Jeżeli jednak twórcy „Falangi" mogą dziś przyglądać się z zadowoleniem i uzasadnioną dumą wynikom swej piętnastoletniej pracy, to przede wszystkim dlatego, że wyniki te nie są dziełem przypadku lub szczęśliwej koniunktury, lecz owocem rzetelnego wysiłku, systematycznie przez lata całe wkładanego w rozbudowę przedsiębiorstwa. Nieustanne nowe inwestycje, zakup coraz doskonalszych maszyn do wywoływania i kopiowania filmów, rozszerzenie lokalu, a po tym zakup własnego budynku, zainstalowanie atelier, wyposażenie go w najnowocześniejsze urządzenia techniczne, pozwalające na produkcję filmów na poziomie międzynarodowym, a gdy pierwsze atelier stało się niewystarczające, — otwarcie drugiego, rozporządzającego już dwiema halami do zdjęć: oto główne etapy tej rozbudowy. Dzięki tym inwestycjom „Falanga" stwarza przy produkcji filmu krajowego warunki, ułatwiające nakręcenie dobrego filmu, a przy kopiowaniu filmu zagranicznego zapewnia wykonanie, stojące w zupełności na poziomie pracy najlepszych laboratoriów zagranicznych.

Okoliczności te spowodowały, że „Falanga" stała się prawdziwym ośrodkiem polskiego przemysłu filmowego. Będąc tym ośrodkiem, musi ona jednak zapewnić ze swej strony przemysłowi polskiemu jak najlepsze warunki pracy i pozwolić mu na swym odcinku spełnić zadania, jakie w czasach dzisiejszych stoją przed kinematografią. Zamykając też pierwsze piętnastolecie swej pracy, „Falanga" nie może uważać bynajmniej swej roli już za spełnioną, lecz musi z niezmniejszoną energią wstąpić w dalszy okres wysiłków, zmierzających do rozbudowy prawdziwie polskiego przemysłu filmowego.

Udział w uroczystościach jubileuszowych „Falangi" przedstawicieli rządu z ministrem przemysłu i handlu oraz ministrem spraw wojskowych na czele, jak również zgromadzonych „in corpore" dziennikarzy filmowych, świadczy, że długoletnie wysiłki i poświęcenia jubilatów przerodziły się w potężny kapitał zaufania jakim są darzeni, zaufania — będącego sprawdzianem wartości i wielkości ich czynu.

*

Dnia 23 kwietnia rb. odbyło się w sali Pompejańskiej Hotelu Europejskiego przyjęcie, w którym wzięli udział: minister przemysłu i handlu dr Antoni Roman, dyr. Dep. Min. Spr. Wewn. Michałowski, dyr. Dep. Min. P. i H. Gepert, zast. dyr. Gabinetu Ministra Skarbu — Rakowski, zast. dyr. Dep. M. P. i H. — Konopski, wicedyrektor Związku Izb Przemysłowo-Handlowych — Rutkowski, naczelnicy wydziałów: dr Zawistowski i Relidzyński, radcowie: konsul Lechowski, dr Barabasz, Wojtysiak, dr Zawadowski, Englisch, Mirski, dyrektor Wydz. Filmowego P. A. T. — Katelbach, mjr. Dunin-Majewski, naczelnik Kijeński, Prezydium Rady Naczelnej Przemysłu Filmowego w Polsce w osobach, pp. Czarneckiego, dr Gleisnera, Gortata, Zagrodzińskiego — z p. Prezesem Ordyńskim na czele oraz dyrektor Biura Rady Naczelnej Handt, prezes Z. A. S. P. — Śliwicki, prezes Związku Realizatorów i Techników filmowych — Norris, pp. Chamiec, Goetel, Szweitzer, Krawicz, Rosen, dr Ruszkowski i inni.



Dyr. Adam Drzewicki

W czasie bankietu wygłoszono szereg przemówień, które rozpoczął prezes Rady Naczelnej Przemysłu Filmowego w Polsce p. Ordyński, po czym przemawiali: pp. minister Roman, Goetel, Chamiec, dyr. Michałowski, dyr. Rutkowski, naczelnik Zawistowski i p. Norris.



P. P. min. min gen. Kasprzycki i dr. Roman w otoczeniu przedstawicieli rządu i przemysłu filmowego w nowej sali projekcyjnej „Falangi"

MISCHEL GREEN

# TAJEMNICZY AKTOR

*Hollywood, w maju*

Greta Garbo, która stworzyła dokoła swej osoby atmosferę tajemniczości, posiada w Hollywood godnego siebie konkurenta, którego nazwisko brzmi — Peter Lorre. Jest aktorem filmowym. Prowadzi jednak życie zupełnie odosobnione, nie udziela się towarzysko, nie bywa na wyścigach, w nocnych klubach, ani nie bierze udziału w zebraniach aktorów.

Żadnemu z wszechwiedzących reporterów, znających najdrobniejsze nawet szczegóły z życia amerykańskich aktorów, nie udało się dotychczas wyśledzić z kim np. przyjaźni się Peter Lorre.

Jedyne co wie o nim jego reżyser, to to, że punktualnie zjawia się w studio i że jest małomówny, a każda kreowana przezeń rola stanowi prawdziwe szczere przeżycie.

Peter Lorre twierdzi, że większość aktorów filmowych to ludzie mało wartościowi, którzy za cenę sławy lub pieniędzy odrzucają własną indywidualność, by odtworzyć inną, nawet najbardziej sobie obcą postać.

— Wszak pan sam jest aktorem? — zauważyłem.

— Jestem — odrzekł — lecz ja z pewnym fanatyzmem studiuję każdą nową postać, dopóki sam nie uznam, że zdołałem przenieść ją na ekran należycie opracowaną.

Mając lat 17 opuściłem dom rodziców, by w wędrującej trupie teatralnej, nieraz o głodzie i chłodzie, móc oddać się memu najbardziej ulubionemu zajęciu.

Każdą swą rolę studiuję nieraz miesiącami, wżywam się w nią. Toteż gdy w swoim czasie Hollywood uznało już mnie, gdy byłem już syty sławy i pieniędzy, chciałem je opuścić, gdyż zaczęto mi stale narzucać rolę zboczeńca, ponieważ w jednym z filmów... osiągnąłem w niej wielki sukces.

Gdy zapytałem wielkiego aktora, w jaki sposób przenika tak świetnie psychologię ludzi nienormalnych, z tak wielką maestrią przezeń odtwarzanych, odpowiedział mi: „Pojęcie nienormalności jest bardzo względne: na przykład mam w domu dwa koty — gdy kiedyś jeden z nich zginął, pozostałe kocię płakało przez całą noc i ja wraz z nim, dopiero nad ranem, kiedy zguba znalazła się, a w domu ucichło się — ja zasnąłem. Znam ludzi, którzy uważaliby to za nienormalne. Albo drugi przypadek: w trupie, w której pracowałem, był jeden aktor hipochondryk— zawsze ponury, postanowiłem wymyśleć



takie tricki, któreby wreszcie wywołały uśmiech na twarzy kolegi — to stało się celem mego życia... i według mnie jest to zupełnie normalne.

Lubię dlatego może przebywać w tłumie, wśród ludzi obcych, nieokrzesanych, gdzie niejednokrotnie zostaję kopnięty lub stuknięty, wolę to niż siedzieć bezczynnie, uśmiechać się lub odpowiadać na przywitania znajomych. — Pan chwalił moją rolę „Motta" w serii filmów p. t. „Przygoda Motto"?.. Otóż widzi pan, do odegrania tej roli trzeba dobrze wczuć się w psychologię odtwarzanej postaci niezależnie od tego, czy uważam tę postać za normalną, czy też nie.

Na tym też skończyłem wywiad z człowiekiem, o którym Charlie Chaplin powiedział: „najbardziej utalentowany aktor w Hollywood", a Madeleine Carroll — „najbardziej interesujący mężczyzna w Hollywood".

Korespondent „Muzy filmowej" w Hollywood

# WIELKA WYSTAWA FILMOWA w POLSCE

## Tydzień Propagandy Filmu i Kina oraz konkurs na najlepszy film polski

Dnia 5 maja r.b. odbyła się w Radzie Naczelnej Przemysłu Filmowego w Polsce konferencja w sprawie zorganizowania w roku bieżącym wielkiej Wystawy Filmowej, Tygodnia Propagandy Filmu i Kina oraz konkursu na najlepszy film produkcji polskiej sezonu 1937/1938 r.

W konferencji, poza członkami Rady Naczelnej Przemysłu Filmowego z pierwszym jej wiceprezesem p. Stanisławem Zagrodzińskim na czele oraz dyrektorem biura p. Józefem Handtem, wzięli udział przedstawiciele poszczególnych ministerstw — spraw wewnętrznych, przemysłu i handlu, spraw zagranicznych, wyznań religijnych i oświecenia publicznego oraz komunikacji, przedstawiciele Związku Izb Przemysłowo - Handlowych oraz izb przemysłowo-handlowych w Warszawie i we Lwowie na czele z dyrektorem Michałem Jasińskim — projektodawcą organizacji konkursu na najlepszy film krajowy, redaktor Wiesław Bończa-Tomaszewski — projektodawcą wystawy filmowej oraz Tygodnia Propagandy Filmu i Kina, przedstawiciele Związku Dziennikarzy i Publicystów Filmowych (prezes Tadeusz Kończyc i wiceprezes Stanisław Ostrzycki), przedstawiciel P. A. T., oraz przedstawiciele władz poszczególnych organizacji gospodarczych: Polskiego Związku Przemysłowców Filmowych (prezes dr. Leopold Gleisner), Polskiego Związku Producentów Filmowych (prezes Stefan Dękierowski, dr. Andrzej Ruszkowski, Józef Rosen), Związku Zrzeszeń Polskich Teatrów Świetlnych (prezes Stanisław Zborowski — Lwów, Józef Morgenlender), Zrzeszenia Producentów Filmów Krótkometrażowych w Polsce (prezes Zdzisław Gorat), Związku Właścicieli Kinoteatrów w Warszawie (prezes Maksymilian Czarnecki), Sekcji Amatorów Filmowych (p. Wojciechowska), Stowarzyszenia Realizatorów i Techników Filmowych (prezes Stefan Norris), Ogólnopolskiego Zrzeszenia Kupców Gałęzi Fotograficznej i Kinematograficznej (Pajewski, Erwin Peszt, Kazimierz Rohowicz) oraz Zrzeszenia Przedstawicieli Przemysłu Fotograficznego (prezes Marceli Sejdengart).

Na skutek wypowiedzenia się przedstawicieli poszczególnych resortów rządowych oraz organizacji gospodarczych, postanowiono jednomyślnie zorganizować w r.b. wielką Wystawę Filmową, która ze względów na możliwości techniczne (Warszawa nie posiada jeszcze odpowiednich obiektów budowlanych) zostanie urządzona we Lwowie na terenie Międzynarodowych Targów Wschodnich w okresie od 3 do 13 września r.b. Za urządzeniem wystawy we Lwowie przemawiał również fakt, że w omawianym czasie odbędzie się tam walny zjazd Związku Zrzeszeń Polskich Teatrów Świetlnych.

Tydzień Propagandy Teatru i Kina, który rozpocząć się ma ewentualnie bezpośrednio po zamknięciu Wystawy Filmowej, obejmie swym zasięgiem teren całego kraju. Projektowany konkurs na najlepszy film produkcji polskiej z sezonu 1937/1938, na który przeznaczone mają być nagrody rządowe, zostanie objęty ramami Wystawy Filmowej.

# JUBILEUSZ TADEUSZA KOŃCZYCA

Redaktor Tadeusz Kończyc obchodzi w roku bieżącym trzykrotny jubileusz — czterdziestolecie działalności literackiej, trzydziestolecie pracy na terenie krytyki literackiej i dwudziestolecie na polu piśmiennictwa filmowego.

Członek redakcji „Kuriera Warszawskiego" i prezes Związku Dziennikarzy i Publicystów Filmowych — Tadeusz Kończyc poza działalnością literacko-publicystyczną był czynny na niwie pracy społecznej: przewodniczył Komitetowi Obywatelskiemu gmin powiatu sochaczewskiego, gdzie gospodarował lat jedenaście, był założycielem i prezesem ZAIKS'u, organizatorem Domu Filmu Polskiego, Towarzystwa Społecznego „Strażnica" i Klubu Sprawozdawców Filmowych.

Organizacją wieczoru jubileuszowego, poświęconego twórczości zacnego Jubilata zajmuje się Związek Dziennikarzy i Publicystów Filmowych.

ZBIGNIEW PITERA

# DRAMAT FILMOWY — lecz nie na ekranie

Na jednym z ostatnich wieczorów dyskusyjnych w Związku Dziennikarzy i Publicystów Filmowych wszczęto nadzwyczaj ciekawą dysputę na temat zademonstrowanego uprzednio filmu produkcji krajowej „Ludzie Wisły" — reż. A. Forda i J. Zarzyckiego, filmu, rzec by się chciało: tragicznego. Należy on bowiem do serii tych „wykolejeńców" filmii, którym nie dane było zajaśnieć na zeroekranie stołecznym — lecz gdzieś „cichcem, boczkiem" prześlizgiwać się po płótnach prowincjonalnych kinoteatrów.

Dzieje tego tragicznego filmu — bynajmniej nie gorszego od przeciętnej produkcji krajowej, a pod wieloma względami nawet rewelacyjnego — są przykrym świadectwem naszej smutnej rzeczywistości filmowej. Pomyślany początkowo jako reportaż o charakterze legendy opiewającej życie Wisły, która miała być głównym „bohaterem" obrazu, koncentrującym w sobie wszystkie wątki i odzwierciedlającym życie jej ludzi — wodniaków, przerobiony później wskutek jakichś handlowych spekulacyj producenta na długometrażowy obraz z normalnie rozbudowaną akcją dramatyczną i „głównymi rolami" dla rodzimych gwiazd (koniecznie: nazwiska!) — stał się w końcu dość chybioną próbą transponowania na ekran literackiego reportażu. W rezultacie oglądamy film o mocno podejrzanej fabule, tak pod względem logicznym jak i moralnym, zaopatrzonej przezornie w niezbędne akcesoria filmu krajowego z scenami dancingowo - kabaretowymi na czele.

Mimo jednak te wszystkie potknięcia i uchybienia, jest w tym galimatiasie złych i dobrych scen, chybionych i udanych chwytów reżyserskich, groteskowo naiwnych i przejmujących ujęć fabularnych — coś co każe nam chwilami zapominać o koszmarnym nieporozumieniu, którego film ten jest naturalnym wynikiem. To strzępy pewnego nastroju, jakichś przytłumionych reakcji uczuciowych, refleksy świeżych wrażeń, które budzą w nas niektóre fragmenty tego obrazu. Fragmenty, przez które przemawia tam niecodzienny, nowy, ponętny temat, na kanwie którego rozsnuto tyle rzeczy nikomu niepotrzebnych. Tematem tym jest Wisła — jej życie — a raczej życie jej ludzi — bo tytuł filmu brzmi: „Ludzie Wisły". Ci ludzie Wisły to wspaniałe, soczyste typy z prawdziwego zdarzenia, ukazujące się nam w licznych sugestywnych zbliżeniach. (Zbliżenia te, stosowane może nazbyt często, stanowią same w sobie galerię świetnych studiów głów ludzkich).

Otóż w tych momentach, gdzie dramat postaci związany jest nierozłącznie ze środowiskiem życia wodniaków, jego blaskami i cieniami, kiedy tętni jego specyficznym rytmem — wtedy film staje się najbardziej interesującym i poddajemy się całkowicie jego urokowi. Sprawy starej Matyjaski są nam bliskie i zrozumiałe — jej poczucie honoru w handlowych tranzakcjach, jej patriarchalne władztwo na butwiejących deskach starej barki, jej pozorna surowość i bezwzględność, którymi maskuje swe — w gruncie rzeczy — gołębie serce. Ta postać jest postawiona bezbłędnie — i tak też została zagrana. Jest to już druga — po „Dziewczętach z Nowolipek" — prawdziwie filmowa rola Stanisławy Wysockiej.

Te wszystkie plusy filmu wypływają bezwzględnie z jego swoistych wartości tematycznych. Ich odrębny charakter i ciężar gatunkowy nadają pewnym partiom filmu zupełnie zdecydowany styl, który po strąceniu z siebie naleciałości niemodnej już dziś szkoły sowieckiej mógłby się stać z powodzeniem jakimś zaczątkiem polskiego stylu filmowego. Aleksander Ford jest niewątpliwie obok Lejtesa tym reżyserem, który po pewnym zdyscyplinowaniu swej indywidualności twórczej, a zwłaszcza po wyzbyciu zbędnych manier — mógłby wyłonić zupełnie realne podstawy stworzenia polskiej szkoły filmowej. Wszystkie jego poprzednie filmy wskazują wyraźnie, jak staranną selekcję przeprowadza w wyborze tematu i jak go indywidualnie kształtuje.

Przyjrzyjmy się tematyce takich filmów, jak „Legion ulicy" lub „Przebudzenie" — a przekonamy się, ile dobrej woli — a może i nawet (biorąc pod uwagę nastawienie naszych producentów) poświęcenia, wymagało stworzenie tych filmów, tak przecież odbiegających od jałowego szablonu tematyki naszej produkcji. Życie gazeciarzy, w „Legionie ulicy" — bezrobocie i nędza wielkomiejska w „Przebudzeniu" — teraz znów: nieznane zupełnie środowisko „wodniaków" w „Ludziach Wisły" — to chyba dość „rewolucyjne" w naszych stosunkach posunięcia. Posunięcia w kierunku właściwym, bo zmierzającym do wydobycia naszego filmu z pod przemożnej władzy rozpanoszonej łatwizny, banału i szablonu.

W powodzi seriowych filmów pseudokomediowych i pseudo-tragicznych — wyżej wspomniane obrazy wyróżnia o całe niebo już choćby tylko to, że przewijają się w nich refleksy naszej współczesnej rzeczywistości, sumiennie podpatrzonej i z dużymi ambicjami artystycznymi transponowanej na ekran. Z drugiej zaś strony jednak prześladuje je jakaś „nieszczęśliwa trzynastka": strona techniczna szwankuje na całej linii. I zdaje mi się, że to jest chyba istotny powód tego, że wzdraga się przed nimi zeroekran stołeczny — przyzwyczajony do „przeciętności poprawnej technicznie".

Taki już widać los wszystkich — nielicznych zresztą — pionierskich poczynań na jałowej glebie rodzimego filmu.







## Odznaczenie Filmowców Polskich

W miesiącu kwietniu r.b. szereg osób ze świata filmowego otrzymało oznaki Krzyża Zasługi, a mianowicie:

*Złoty Krzyż Zasługi:*

p. Stanisław Zagrodziński — Prezes Związku Polskich Zrzeszeń Teatrów Świetlnych,
p. Ferdynand Goetel — literat,
p. Karol Franciszek Irzykowski — literat,
p. Eugeniusz Junod-Bodo — artysta filmowy,
p. Józef Lejtes — reżyser filmowy,
p. Edward Cyprian Puchalski — reżyser filmowy,
p. Jadwiga Smosarska - Protasewiczowa — artystka filmowa,
p. inż. Seweryn Steinwurcel — operator filmowy.

*Srebrny Krzyż Zasługi:*

p. dr Adam Herman — właściciel kinoteatru,
p. Helena Konopka - Rolandowa — urzędniczka Związku Właścicieli Kinoteatrów w Warszawie,
p. Jan Łuczak — właściciel kinoteatru,
p. Julian Nowomiejski — kierownik kinoteatru,
p. Stanisława Tomaszewska — urzędniczka Związku Polskich Zrzeszeń Teatrów Świetlnych,
p. Stanisław Zborowski — właściciel kinoteatru,
p. Feliks Żyszkowski — kierownik kinoteatru,
p. Eugeniusz Cękalski — reżyser filmowy,
p. Albert Wywerka — operator filmowy,
p. dr Stefania Zahorska — literatka,
p. Ryszard Biske — reżyser filmowy,

*Brązowy Krzyż Zasługi:*

p. Wacław Olszewski — kinomechanik.

# PALLAS FILM — STARTUJE

## 4 filmy, które muszą się znaleźć w repertuarze każdego kina

Każdy, kto pamięta wspaniały sukces, jaki odniósł pierwszy film sprowadzony przez p. dyr. Schwarzwalda „La Grande Illusion" odniesie się niewątpliwie z należytym zaufaniem do stworzonej przez niego placówki p.n. „Pallas Film", która zapowiada 4 filmy.

Na pierwszym miejscu tej rekordowej czwórki „Pallas Filmu" figuruje film francuski „Ludzie za mgłą", uznany zarówno przez prasę fachową, jak i codzienną za film, który przynosi zaszczyt wszystkim producentom Francji.

„Ludzie za mgłą", to potężny dramat namiętności ludzkich. Barwna i żywa akcja, środowisko, kapitalna gra wykonawców (fenomenalny Jean Gebin, Michelle Morgan i Pierre Brasseur) i wytrawna reżyseria sprawiły, że „Ludzie za mgłą" jest jedynym filmem francuskim sprzedanym na wszystkie kraje świata, co świadczy o jego wartości.

Zupełnie odmiennym, ale równie atrakcyjnym jest fascynujący film angielski „Pieśń Pustyni". Film jest pełen dynamiki, treści i wartko płynącej akcji. Wielkim atutem tego filmu jest kapitalna kreacja i śpiew „czarnego Szalapina" Paula Robesona.

A potem idzie film „Symfonia zmysłów". Jest to przeróbka mistrzowskiej noweli Stefana Zweiga, pt. „Strach", obrazującej fragment z życia mężatki całkowicie opanowanej przez zmysły. Miłość, zdrada, szantaż — oto motywy, na których jest zbudowany scenariusz. Reżyser W. Turzański powierzył główne role najlepszym aktorem Francji, Kaby Morlay, Charlesowi Vanel i Georgesowi Rigand.

Wreszcie na zakończenie film ultrasensacyjny „Przeklęty skarb", z życia poszukiwaczy diamentów w Afryce. Skarby te, podobnie jak grobowiec Tutankhamona, przynoszą śmierć. Film został zrealizowany w niezbadanych dotychczas dżunglach Czarnego Lądu.

Cztery filmy, cztery prawdziwe perły.



THEODOR LEWITE

# Król Wielkiej Brytanii i... kangur

*Londyn, w maju.*

„Król Jerzy VI ma dokonać ceremonii otwarcia Wystawy Imperialnej" — wiadomość ta od dłuższego już czasu znajdowała się na łamach prasy, uzupełniana coraz to nowymi komentarzami i szczegółami.

„Biggest sime Wembley" — ogłaszało biuro propagandy wystawy — największa (wystawa) od czasu Wembley. Dwa te zdania były zupełnie wystarczającym bodźcem dla setek tysięcy mieszkańców Imperium Brytyjskiego, by znaleźć się w Glasgow i zwiedzić wspaniałą, ultra - nowoczesną wystawę.

Rzeczywistość, jaką zastaliśmy w Glasgow na terenie Bella houston Park, przeszła wszelkie oczekiwania.

Dziesiątki pawilonów, urządzonych na wskroś modern, lecz subtelnie i z wielkim smakiem, zarówno wewnątrz jak i zewnątrz, dają wrażenie ostatniego słowa techniki, architektury, budowy wnętrz. Ale przejdźmy lepiej od ogólników do bardziej szczegółowego opisu. A więc we wtorek, 3-go maja „owego historycznego dnia" — jak pisze prasa — 100 tysięcy ludzi oczekiwało na wspaniałym stadionie Ibrox przybycia króla. Wśród tych 100 tysięcy byli tylko posiadacze biletów sezonowych, władze, prasa i oficjali. Na środku zielonej murawy lśniła w promieniach słońca loża królewska o olbrzymich rozmiarach. W loży tej zasiedli tylko przedstawiciele najwybitniejszej arystokracji, otaczając dwa złocone lecz puste jeszcze, fotele.

Lecz oto brzmią już fanfary i w karocy zaprzężonej w sześć białych koni wjeżdża na stadion para królewska. 100 tysięcy ludzi wiwatuje na cześć swego władcy. Oddziały honorowe marynarki, lotnictwa i armii szkockiej prezentują broń, orkiestry grają hymn „God save the king", a kaznodzieja kościoła szkockiego wygłasza kazanie, lord Earl of Elgin and Kincardinc, najwyższy rodowy arystokrata szkocki i prezydent wystawy, odczytuje adres do J. K. Mości. Monarcha odpowiada dość długo... Wreszcie z królewskich ust pada słowo: open — otwarta.

Znów fanfary, saluty oddziałów wojskowych, i para królewska w tej samej karocy opuszcza stadion, udając się na teren wystawy. Po paru minutach i my znajdujemy się tam również, po czym towarzyszymy orszakowi królewskiemu w zwiedzaniu poszczególnych pawilonów.

Król ma pewien schemat zwiedzania. Na progu kazdego pawilonu wita się z oficjałami, a następnie wchodzi na kilka chwil do wewnątrz i wreszcie poprzedzany przez rozmaitych wyfrakowanych figurantów opuszcza pawilon.

Przed każdym pawilonem na specjalnych wzniesieniach stoją, klęczą, leżą, podskakują fotografowie prasowi. Policja, skonsygnowana w dużych ilościach, zmusza bezustannie zbyt natrętnych reporterów i foto-reporterów do wycofania się ze zbyt daleko wysuniętych pozycji. Król ubrany jest w mundur admiralski i bez przerwy salutuje wiwatujące na jego cześć tłumy. Może więcej jeszcze owacji zbiera królowa. Jest przecież Szkotką, a Szkoci są nacjonalistami!

Największą sensację ujrzeliśmy przy wejściu do pawilonu australijskiego. Żywy, autentyczny kangur, symbol tego dominium, witał spontanicznie królewskich gości. Król bawił się z nim przez chwilę, dość krótką zresztą, ale wystarczającą na setki... pstryknięć aparatów fotograficznych i filmowych. Nazajutrz cały świat zachwycać się będzie królem i... kangurem. Na progu pawilonu kolonii (Borneo, Cejlon, Afryka Wschodnia itd.) stoi malownicza grupa: na tle czarnych fraków i cylindrów pięknie odbijają się barwne kostiumy i mundury kolorowych dostojników oraz ich białe hełmy tropikalne.

Jednym z ostatnich aktów zwiedzania przez króla wystawy jest pobyt w maleńkiej, lecz wyjątkowo pięknej kapliczce. Wreszcie Ich Królewskie Moście opuszczają teren. Dopiero teraz wystawa nabiera życia.

Tłumy publiczności rzucają się na zwiedzanie poszczególnych pawilonów oraz Amusements' Park — Parku Rozrywek.

Na zakończenie wspomnę jeszcze o wspaniałej, olbrzymiej wieży — Empire Tower, wysokości 300 stóp (około 100 metrów), całkowicie skonstruowanej ze stali i żelaza. Wieża ta widzialna jest z każdego punktu Glasgow.

Theodor Lewite

Korespondent „Muzy filmowej" w Londynie



NORMA SHEARER I TYRONE POWER
w nowym filmie Metro Goldwyn Mayer p. t. „Marie Antoinette, reż. Van Dyke
Fot. M. G. M.

# O FILMACH TYGODNIA

### „GRZECH MŁODOŚCI"
**Kino „Casino"**

Film ten poświęcony jest tragedii matki, która na skutek zdrady małżeńskiej utraciła prawo do swego dziecka. Głęboko tragiczne są momenty życia bohaterki obrazu, skazanej przez męża z „zasadami" na mękę tęsknoty i upadek moralny.

Obraz otrzymał doskonałą obsadę aktorską, w której każdy wykonawca czuje się odpowiedzialnym za dobro całości. Gladys George daje świetną sylwetkę, pełną wyrazu; nie sposób oderwać oczu od jej twarzy, mieniącej się na ekranie całą gamą wzruszeń — co za piękne przejścia w rysach, targanych burzą namiętnych uczuć.

„Grzech młodości" jest zresztą nie tylko dobrze grany, ale zajmujący. Szereg scen posiada przy tym wiele siły dramatycznej. Zwłaszcza sceny w sądzie (podobnie jak w „Mazurze" z Polą Negri), kiedy oskarżona o morderstwo z poświęcenia matka, pragnąc zachować dobrą o sobie pamięć u nieznającego ją dziecka, przejawia swą wielkość, siłę ducha i heroizm.

### „ZBŁĄDZIŁEM"
**Kino „Stylowy"**

Nie znam sztuki francuskiej Henri Bernsteina, według której zrobiony jest scenariusz filmu. Ale trzeba przyznać, że filmowa wersja kompleksu, stwarzającego tragedię trojga osób — mężczyzny, który nie umiał kochać i ubóstwiających go dwóch kobiet: żony i kochanki, jest bogata w akcję, absorbującą uwagę widza. Twórca scenariusza poszedł drogą oryginalną — film jego jest nieprzeciętny, choćby dlatego, że konflikty uczuciowe umiał ująć odrębnie, odświeżając zwykły temat, dzięki czemu też uczynił z tego świetnego obrazu — dramat ludzki, dramat serc uwikłanych w sidła miłości wielkiej, jak śmierć. Reżyser Marc Allegret ze swej strony potrafił z każdej sceny wydobyć efekty czysto kinowe — i choć film powstał ze sztuki teatralnej, uniknąć szczęśliwie teatralizacji. Popisał się przy tym szeregiem scen mocnych w pojęciu filmowym.

Wykonanie aktorskie jest również na wysokim poziomie. Rolę główną — Andrzeja, kreuje Charles Boyer; Boyer, jako aktor — to szczyt cyzelizacji odtwórczej, to artysta w całym znaczeniu filmowy. Partnerce jego — Michel Morgan (w roli Franciszki Massart) zawdzięczać należy natomiast swobodę gry, ruchów, niepospolitość mimiki, oraz niesłychaną, cudowną prostotę i prawdę, z jaką oddała postać dziewczyny, pełnej niepokojącego uroku i dobrze tłumionej, lecz jakże widocznej i z jakąż maestrią wygranej namiętności. Reszta zespołu: to miniaturki aktorskie pozapinane na ostatnie gruziczki!

Realizatorzy „Zbłądziłem" ( w oryginale „Venin") uczynili wszystko, aby osiągnąć maksimum tego, co w istniejących warunkach było do osiągnięcia. Obraz, stanowiący ciekawy dokument do rozważań psychologicznych, sprawia wrażenie silne i niezapomniane. Należy do tych filmów, które warto zobaczyć.



**DANIELA SŁOTWIŃSKA**

Pieśniarka estradowa, zwana „słowikiem Warszawy", której fascynujący wręcz głos ma tylu wielbicieli i entuzjastów. Według krążących śród sfer artystycznych pogłosek, nazwisko p. Słotwińskiej w nowym sezonie teatralnym ma znaleźć się na afiszach jednej ze scen stołecznych. *Team* polski aktorów — śpiewaków znów wzbogaca głos wartościowy, rokujący — według opinii fachowców — duże możliwości. Niech nie zostanie zapoznany przez dyrektorów teatralnych w kraju, jak inne, które właściwie oceniła dopiero zagranica!

### „OSTATNI ALARM"
**Kino „Światowid"**

Sensacyjny ten film angielski należy do kategorii obrazów szlachetnego typu — wizja o tym co jest piękne i ludzkie w naturze człowieka, bez względu na różnice narodowościowe. Dzieje ucieczki oficera brytańskiego z niemieckiego obozu dla jeńców, oraz okazanie mu pomocy i uczucia przez niemiecką dziewczynę, w odpowiednim reżyserskim ujęciu, złożyły się na całość frapującą i wzruszającą. Akcja interesuje od pierwszej do ostatniej sceny, dzięki świetnemu scenariuszowi, a wrażenie, jakie wywołuje, potęguje doskonała gra wszystkich wykonawców z Douglas'em Montgomery, Constante Benet i Oskarem Homolka (świetnym aktorem wiedeńskim z teatru Reinhardta) na czele.

Film obfituje w sceny pełne dużego napięcia dramatycznego, które zostały ujęte bez taniego efekciarstwa, z prostotą i siłą wyrazu.

### „BŁĘKITNA ZAŁOGA"
**Kino „Imperial"**

Miły, przyjemny film. Pogodna, niefrasobliwa komedia muzyczna, pełna życia i werwy. Akcja, zresztą błaha, rozwija się w doskonałym tempie. Pod pokrywką romantycznej historyjki miłosnej przewija się cienką nicią tendencja propagandowa. Kto obejrzy ten film napewno z sympatią będzie się odnosił do amerykańskiej marynarki wojennej.

Bohaterami obrazu są: znany już z szeregu filmów tego typu Dick Powell oraz nowa gwiazda ekranu Doris Weston. Dobrana ta para znajduje pole do popisu w kilku piosenkach, z których najmelodyjniejsza jest o „mojej małej". Humor w „Błękitnej załodze" reprezentuje Hugh Herbert (u nas zresztą nie wiadomo dlaczego — mało popularny), który gra rolę impresaria; aktor ten posiada wielki talent mimiczny, o wyjątkowych walorach kinetycznych — siła ekspresji jego gry jest duża i wywiera dobre wrażenie.

**Wiesław Bończa-Tomaszewski.**

# TEATR

TEATR ATENEUM

**„Szóste piętro".**

Jaracz ma szczęście w doborze repertuaru, choć nie dysponuje „specami" od kierownictwa literackiego, choć kieruje się intuicją raczej i doradą „dobrego ducha" swego teatru, reżyserki Perzanowskiej.

Po „Cieszmy się życiem" — obecnie „Szóste piętro" — to znowu kilka miesięcy „murowanego" sukcesu. T. K. K. T. może znowu zazdrościć, choć co prawda dla tego typu sztuki T. K. K. T. nie dysponuje odpowiednią sceną, jest to gatunek popularnego melodramatu, obliczonego na łezkę i sentyment szerokiej widowni.

Inna sprawa, że takie utwory, zręcznie przez Jaracza dobierane, niewiele mają wspólnego z wysokimi hasłami, jakimi Jaracz operuje zwykle w swoich dorocznych wywiadach, których opinia już oddawna nie traktuje poważnie, orientując się doskonale, że Jaracz na małą skalę uprawia to samo, o co oskarża T. K. K. T.: po prostu mały sklepik zazdrości i rzuca inwektywy na dużą hurtownię. Zdaje sobie bowiem chyba Jaracz na trzeźwo sprawę, iż teatr jego oddawna już zatracił jakąkolwiek linię ideologiczno-społeczną i po prostu jest pracownią wielkiego gwiazdora w otoczeniu starannych i ambitnych aktorów pomniejszego wywiadu, świetnie zawsze montowanych w całość reżyserską i zespołową przez Perzanowską.

Jakkolwiekbądź, „Szóste piętro' 'to taki obliczony na pewną sumę łatwych wzruszeń melodramat przedmiejski o życiu pół i ćwierć inteligencji na szóstym piętrze czynszowej kamienicy. Jest to odmiana słynnej „Ulicy" i prawdopodobnie tak samo długotrwałym sukcesem cieszyć się będzie, tym bardziej, że jest to świetnie przedstawione reżysersko i aktorsko Perzanowska z wielką pewnością zarysowała koloryt środowiska, postawiła i przeprowadziła wszystkie role i rólki, główne postacie i epizody. Jest to typowe przedstawienie zespołowe, odnoszące sukces całością, zbiorowym wysiłkiem, koordynacją wszystkich elementów.

Oczywiście wielka indywidualność Jaracza w roli autora sensacyjnych powieści a zarazem buchaltera, szczwanego producenta tandety a zarazem naiwnego ojca chorowitej córki — przesłania wszystkich innych wykonawców finezją rysunku psychologicznego, delikatnym humorem i niewolącym wdziękiem.

Bardzo szczęśliwym debiutem był występ p. Nobisówny, do niedawna tancerki rewiowej. Jej Jadzia miała wiele bezpośredniości i szczerości. Zobaczymy, jak młoda debiutantka poradzi sobie w następnych rolach, gdy już postać nie będzie tak absolutnie odpowiadać jej warunkom zewnętrznym, jak w „Szóstym piętrze".

Kapitalnie rozwija się Jaraczówna — po linii komiczno-charakterystycznej. Ma ona chwilami pewność rysunku komicznego i humor podania dowcipu — przypominający niezapomnianą ś. p. Janecką.

Przyjemna w tonie Bonecka, bezbłędnie piękna i interesująca Kryńska, zabawne Zahorska i Gruszecka, świetni Pośpiełowski i Daniłowicz oraz Gruszecki, bardzo poprawni Kalinowicz, Żelski, Kempa i inni — słowem, cały zespół gra znakomicie, a Perzanowska może być dumna ze swej pracy reżyserskiej.

TEATR KAMERALNY

**„Niewiniątko".**

Po wielkim sukcesie „Dziewcząt w mundurkach" i „Matury" teatr Adwentowicza wyspecjalizował się w sztukach z życia szkolnego.

Jest to specjalność wdzięczna, gdyż repertuar tego typu ma w sobie żywotność, interesująca jak najszersze sfery, stykające się z wychowaniem młodzieży. A równocześnie tkwi w tych sztukach element zdrowej sensacji.

Przyznać trzeba, że tym razem sensacja ta zdrowa nie jest, bowiem pod pozorem studium dziewczyny złej i krnąbrnej, typowego okazu do leczenia metodą psychoanalityczną Freuda — amerykańska aktorka p. Helman przemyciła — w drugiej połowie sztuki — atmosferę miłości lesbijskiej, odrażającej i w życiu i na scenie.

Toteż, mimo, że sztuka jest interesująca i na ogół dobrze grana, wątpić należy, czy zyska aprobatę publiczności. Z reagowania widowni należałoby przypuszczać, że sztuka powodzenia nie osiągnie.

Tym razem p. Grywińska, zarazem staranna reżyserka sztuki, nie ma odpowiedniego pola popisu, zarówno jak i p. Biesiadecka, która gra z umiarem drastyczne momenty wyznań lesbijskich.

Z wielką — aż z za wielką — swobodą i pewnością siebie gra krnąbrną dziewczynę p. Polabówna, aktorka młoda i zdolna, którą widzieliśmy u Jaracza w ub. sezonie w sztuce Moliera. Czy i w innych rolach, gdy trzeba będzie być osobą normalną i dorosłą — p. Polabówna potrafi być interesującą — przyszłość okaże.

Wiezejska, Sokołowska, Bartówna i pan Liedtke — poprawni.

TEATR NOWY

**„Serce".**

Teatr Nowy wystawił ostatnio jeden z najnowszych utworów starego majstra teatru francuskiego Henryka Bernsteina „Serce". W ciągu ewej blisko 40-letniej kariery pisarskiej Bernstein umiał stale przystosowywać się do zmiennych konjunktur powszechnego gustu i obowiązujących upodobań: od naturalizmu odbył drogę do psychologizmu, nie przestając być niezawodnym technikiem teatralnym, — świetnym konstruktorem — efektów scenicznych.

W „Sercu" Bernstein, doskonały analityk uczuć ludzkich i psycholog przenikliwy, wyszukał nowy konflikt psychologiczny — w pozornie tradycjonalnej intrydze teatralnej. Mianowicie w typowa sytuację niedoszłego trójkąta małżeńskiego Bernstein wprowadził motyw nowy: oto mąż występuje do walki o swoje szczęście i twórczą siłą serca, głębią miłosnego uniesienia pokonuje niedoszłego kochanka swej żony. Bernstein gloryfikuje przy tym instytucję związku małżeńskiego, tworzy jakby apologię małżeństwa, przeciwstawiając poziomość poszukiwacza łatwych przygód miłosnych — sercu głębko kochającemu, energii i uczuciowości prawowitego męża.

Sztukę Bernsteina — jedną z tych sztuk, które zawsze znajdują chętnych odbiorców na widowni — wyreżyserowała Stanisława Wysocka, podnosząc skalę uczuć bohaterów Bernsteina do szlachetnych regionów poważnego dramatu psychologicznego. Po linii tej poprowadziła swą rolę Smosarska, prosta, szczera i bezpośrednia, ujawniająca głębię przeżyć — bez taniego i łatwego zgrywania. Niewątpliwą zasługę ma tu reżyseria, która zwykły sceniczny indyferentyzm uczuciowy Smosarskiej umiała pobudzić do szczerego obnażenia prawdziwych ludzkich cierpień i radości. Mimo, że w myśl tekstu sztuki, bohaterka Bernsteina winna być niewątpliwie młodziutką 20-letnią mężatką, Smosarska, z natury rzeczy przesuwając granice wieku bohaterki do lat kobiecej pełni i dojrzałości, — nie naruszyła linii psychologicznej i pionu uczuciowego postaci i nie przesunęła konfliktu sztuki w niewiarogodne proporcje.

Dużo wielkoświatowej swobody miała Kościeszanka, bardzo francuska w grze komediowej, natomiast Wasiutyńska dała dość ubogą i monotonną tonację swemu epizodowi.

Brydziński padł ofiarą niewłaściwej obsady: miast światowego viveura, kochliwego podstarzałego donżuana — mógł dać jedynie poczciwego i jowialnego wujaszka z prowincji. Rola to wymarzona dla Junoszy lub — Różyckiego.

Wiele gorącego przeżycia, cnót nieuchwytnych, choć istotnych, głębię uczuć, energię i siłę woli — ujawnił Wesołowski, grający doskonale i bezpośrednio, bardzo ludzki i prawdziwy.

Pomyłką bolesną i zgrzytliwą był p. Śliwiński jako lew plażowy, uwodziciel i poszukiwacz łatwych zwycięstw miłosnych: uczynił ze swej postaci parodię, ironizowaną w pajacowym stylu. Źle się przysłużono temu młodemu, zdolnemu i sympatycznemu aktorowi obsadzając go w tej roli, którą tak dokumentnie „położył".

J. Z.

# NIECO O NICZYM

Nie, czytelniku, w tytule niniejszego felietonu nie ma omyłki, nie mam zamiaru pisać o wielkim Nitschem, ale po prostu o niczem, przy czym to ostatnie słowo rozpoczyna się zwykłą małą literą, nie reprezentuje tu bowiem filozoficznej Nirwany.

Człowiek o umysłowości przeciętnej nie będzie dalej czytał, albowiem takiego rzeczy nieważne nie interesują, ma on bowiem do rozwiązania ciekawsze problemy, nad którymi wysilają się jego zwoje mózgowe, ale nieco wyższy umysł zagłębi się w felietonie bohatera, mającego odwagę już samym tytułem niczego czytelnikowi nie obiecywać.



Jak tu zresztą pisać o czymś — skoro najpiękniejsza kochanka — wiosna — stoi tuż za progiem i kusi, obiecuje, że już za chwilę, za dzień nadejdzie? Chciałoby się wraz z jej nadejściem ulecieć nieco w krainę marzeń — ale chwilowo chłodne krople deszczu nakazują stać twardo na ziemi i to w grubych pantoflach o podwójnych podeszwach — nie przepuszczających płaczu uciekającej zimy. Przepraszam, że wspominam rzeczy tak przyziemne, jak obuwie, ale niczego przecież nie obiecywałem, prawda? Zresztą podobno wielu amerykańskich milionerów także zaczynało od styczności z obuwiem, no i im się niżej zaczyna, tym się wyżej dochodzi — jak twierdzi pewien właściciel kopalni węgla. Ale wracając do obuwia, pozwalam sobie przypomnieć, że lakierki objawiają swoje istnienie jedynie w jaskrawym świetle kinkietów sal balowych i dlatego ich świetność może być pokryta patyną czasu, świadczącą o częstym użyciu, a więc i stopie życiowej ich właściciela. Tak samo angielski arystokrata, gardzący nouveau-riches'ami, woli Rolls-Royce'a model 1914 rok, aniżeli nowoczesnego Cadillac'a — ale tylko na wizyty oficjalne — bo poza tym jego wóz na codzień jest lśniący, elegancki, nowoczesny i masywny. Natomiast codzienne obuwie naszych panów wygląda tak, jak gdyby, zamiast Rollsów, ono miało stwierdzać długotrwałość szlachectwa ich właścicieli i jakby kupione było przed wojną (dla orientacji należy dodać — przed europejską). Patyna czasu świadczy tu jedynie o niedbalstwie; taki, lubiący światło dzienne pantofel, nie będzie bardzo urażony w swej box-calfowej dumie, jeśli będzie doskonale wyczyszczony i będzie całą płaszczyzną swego obcasa „bez reszty" przylegał do ziemi.

„Poznać pana po cholewach" — głosi dawne przysłowie — ma ono szerokie praktyczne zastosowanie wśród służby hotelowej, ktora po wystawionym na zewnątrz drzwi obuwiu potrafi scharakteryzować właściciela. Toteż jeśli komu bardzo zależy na opinii służby — niech dba o swe obuwie.

Przysłowia są zwykle mądrością (albo głupotą) narodów — obecnie za ogólnoeuropejskie przysłowie uważać można: „pokaż mi swą laskę — a powiem ci, jakie są twoje przekonania". Laska ma bardzo wiele do powiedzenia, a raczej laską można bardzo wiele powiedzieć, toteż nie od rzeczy będzie wspomnieć słów kilka, tym bardziej, że zbliżająca się wyżej wspomniana wiosna pozbawia nas palt, a więc i kieszeni i nie mając gdzie podziać rąk musimy przynajmniej jedną z nich czymś zatrudnić. A więc laską.

Ileż treści jest w tym słowie, wydawałoby się bezduszny kij, jaką jednak władzę posiada on nad światem! Bywają różne rodzaje lasek, wszystkie jednak mają swoją wymowę, a ich argumenty to grubość, wielkość i kolor.

Laski białe są symbolem nieszczęścia, a że ludzie bardzo (i słusznie!) obawiają się nieszczęścia — toteż tym tylko tłumaczyć można, że często posiadacz takiej białej laski samotnie stara się przejść jezdnię, puka swym symbolem o ziemię i rzadko znajdzie kogoś, kto poświęci kilkanaście sekund swego niezwykle drogocennego czasu, aby przeprowadzić białą laskę na przeciwległy trotuar. Oczywiście gromadzi się wiele osób, podziwiając śmiałka, który miał odwagę zbliżyć się do nieszczęścia.

Krótkie laski, to laski symbole, których jeden ruch, jeden gest ma wymowę w prasie całego świata — to laski marszałków sejmu czy senatu — które jednym uderzeniem w pulpit mogą zamknąć usta przedstawicielom całego narodu; laski marszałków wojny (inaczej: buławy): otrzymują je ludzie, którzy wydatnie przyczynili się do założenia Grobu Nieznanego Żołnierza i Związku Inwalidów Wojennych — ale w obcym państwie.

Laski kapelmistrzowskie, czyli batuty — otrzymują ludzie za umiejętność zachowania poważnego wyrazu twarzy przez dwie godziny i za stanie przez ten czas na małej przestrzeni na podwyższeniu — aby publiczność konkretnie wiedziała kogo oklaskuje. Kapelmistrz nie może mieć łysiny i musi mieć cudzoziemskie nazwisko.

Są to wszystko laski małe, ale reprezentują potęgę swych właścicieli — bywają także laski, które stanowią potęgę samą w sobie — to laski grube, przeznaczone do wtłaczania ideałów w mózgi przeciwników.

Oprócz wyżej wymienionych bywają jeszcze laski, używane przez eleganckich panów jako uzupełnienie eleganckiej całości. Laski te, aby nie budziły paniki swym kolorem, ani nadmiernego szacunku swą grubością — wyrabiane są przeważnie z malagi albo ze złotej leszczyny — przy czym tak modny dawniej bambus czeka chwilowo na lepsze czasy — obecnie bowiem raziłby nieco swą filigranowością w tak możnym i potężnym otoczeniu. Dlatego Chaplin, który nie może się rozstać ze swą cienką laską — a nie chce zamienić jej na modną grubość — zawsze w swych filmach odchodzi — jego laseczka bowiem jest nieprzystosowana do współczesnego życia.

Skoro mowa o lasce, nie można nie wspomnieć o kancie — tu także nie zaszła omyłka: kant przez małe — k — nie filozof — a kant na spodniach. Ma on bardzo silny związek z laską, jak również i z pantoflami. Jest rzeczą całkowicie oczywistą, że zwykły śmiertelnik, którego obuwie nie może być reklamą swego twórcy i nie posiadający laski — może chadzać ulicami Warszawy bez obawy zwrócenia na siebie uwagi. Ale już lśniące obuwie powoduje zainteresowanie przechodniów, cóż dopiero laska?! Aby zatem przekonać przechodniów, że połysk obuwia nie jest jedynie dziełem przypadku, albo reklamą jakiejś pasty i że laska jest jedynie emblematem elegancji, a nie przekonań politycznych — musimy postarać się o faktycznie elegancki wygląd — do czego niewątpliwie przyczyni się wyprasowanie spodni. „Jesteśmy niewolnikami tego, co posiadamy" — głosił pewien filozof — toteż pierwsze pół roku po prasowaniu nie można siadać po turecku, będąc na wizycie, ale i do normalnego siedzenia także można się przyzwyczaić. (Dodać należy w nawiasie, że utrzymująca się od szeregu lat sympatyczna moda postrzępionych spodni najpewniej prędko już zaniknie, albowiem ks. Windsor pokazywał się ostatnio w spodniach z mankietami absolutnie niepostrzępionymi — no, trudno wszystko mija).

Na zakończenie dodać należy, że żyjemy w czasach, kiedy powierzchowne rzeczy mają wielkie znaczenie i czasem nawet mogą mieć wielki wpływ na życie człowieka. Tak na przykład, kant na spodniach może ułatwić kant życiowy, a ten jest, zdaje się, jedyną drogą, umożliwiającą wydatek na kupno laski.

*I. Glaudan.*



## ZE STUDIA UNIVERSALU

Po raz pierwszy w studio wytwórni amerykańskiej znalazł się zespół artystyczny, składający się wyłącznie z przybyszów ze starego kontynentu. Poczynając od głównej „star", poprzez scenarzystę i operatora, a kończąc na reżyserze (Herman Kosterlitz) — wszyscy są Europejczykami. Ten ciekawy eksperyment został zastosowany przy realizacji pierwszego amerykańskiego filmu z Danielle Darrieux p. t. „Szał Paryża" (Rage of Paris). Piękna gwiazda francuska, która przez osiem miesięcy uczyła się języka angielskiego, zdała przed dwoma tygodniami egzamin przed komisją amerykańskich ekspertów.

Duży rozgłos uzyskała Danielle Darrieux dzięki wyświetlanemu obecnie w Ameryce filmowi „Mayerling", który został uznany przez Akademię Filmową w Nowym Jorku za najlepszy film zagraniczny w 1938 roku.

W filmie „Szał Paryża" partnerami Danielle Darrieux są: Douglas Fairbanks jnr. i Mischa Auer.

*

W ateliers wytwórni New Universal został zrealizowany film p. t. „Wyprawa na Marsa". Jest to fantastyczna opowieść o podróży międzyplanetarnej i przygodach na Marsie. Wdzięczny temat dał scenarzystom doskonałe pole do popisu. Role główne odtwarzają: Buster Crabbe i Jean Rogers.

# KONRAD TOM po 25-ciu latach

Ulica Koszykowa jest osobliwością w swoim rodzaju. Mieszczą się przy niej dwie: największa i najmniejsza — biblioteki warszawskie. Pod nr 26 olbrzymia Biblioteka Publiczna i pod nr 6 ta druga, w której znajduje się tylko jeden jedyny: Tom. Dziwnym zbiegiem okoliczności na gmachu nr 26 widnieje cyfra MCMXIII, czyli właśnie w tym roku mija 25 lat od założenia Biblioteki Publicznej.

Dziś jednak wolimy udać się pod nr 6...

„Jedyny egzemplarz" przyjmuje nas w gustownie urządzonym gabinecie (a propos — rzadko się zdarza chyba, aby dziennikarz, opisujący wizytę u kogoś, napisał, że pokój jego był niegustowny, lub brzydki; ale gabinet Konrada Toma jest naprawdę estetycznie i ze smakiem pomyślany).

Rozmowa schodzi oczywiście na temat jubileuszu. P. Tom opowiada nam historię 25-ciu lat swej pracy.



— Z zawodu byłem właściwie dziennikarzem, nie aktorem. Ponieważ jednak zamierzałem specjalizować się w teatrologii, więc na kilka lat przed wojną światową wstąpiłem do szkoły dramatycznej, t. zw. wówczas „szkoły aplikacyjnej przy teatrach rządowych", pod dyrekcją Kazimierza Zaleskiego. Uczniowie szkoły dla zdobycia praktyki statystowali w teatrach. Statystowałem więc i ja w „Śnie nocy letniej", w „Weselu Figara", w „Zaczarowanym kole". Później otrzymywałem już małe rólki w „Szkole obmowy", w „Tajfunie", w „Weselu za rewolucji". Po ukończeniu szkoły wyjechałem na jeden rok na prowincję. Uważałem bowiem, że dopiero tam zgłębię prawdziwą „duszę" teatru. Z zespołem Czarneckiego występowałem w Płocku, Lublinie i Ciechocinku.

Po roku jednak wróciłem do Łodzi i do mego właściwego zawodu — dziennikarstwa. Redagowałem „Kurier Łódzki", prócz tego wydawałem pismo satyryczne „Śmiech". W mej pracy dziennikarskiej silny nacisk kładłem na walkę z niemczyzną. Był wówczas w Łodzi zalew pism niemieckich — samych tylko dzienników wychodziło pięć!

Wybuchła wojna. Przyjechałem do Warszawy. Ale tu trudno było o jakieś poważne stanowisko w prasie, a podrzędnym zajęciem nie mogłem się już zadowolnić. Siłą konieczności wróciłem do teatru. Układałem repertuar dla teatrzyków, kierowałem teatrem „Nowoczesnym" (tam gdzie obecnie jest kino „Rialto"). Później przyszły kolejno: „Miraż", „Czarny Kot", „Qui Pro Quo", „Stańczyk", znów „Qui Pro Quo", „Perskie Oko", jeszcze raz „Qui Pro Quo" „Banda", „Cyganeria", „Cyrulik Warszawski"...

— A film?

— Film to inna dziedzina. Interesowałem się nim oddawna. Jestem jednym z najstarszych filmowców w Polsce. Rozpoczynałem pracę filmową w „Sfinksie" za czasów ś. p. Hertza. Będąc w „Qui Pro Quo" zrobiłem samodzielnie film „Rozporek i Spółka" z Jaraczem i Mrozińską. Później jednak, orientując się, że film przechodzi dopiero okres prymitywizmu, w którym trudno o prawdziwie artystyczne wyniki, dałem spokój wszystkiemu. Pracę filmową zacząłem dopiero po 10 latach, przy pierwszych dźwiękowcach. Od r. 1928-go dla samej „Falangi" zrobiłem przeszło 20 filmów, począwszy od „Serca na ulicy", a skończywszy na „Ułanie ks. Józefa". Podczas przerw w pracy filmowej wracam do teatru. Na przykład teraz wystawiłem dwie operetki w „Wielkiej Rewii".

— A plany na najbliższą przyszłość?

— Mam nakręcić dwa filmy dla Green-Filmu i jeden dla nowopowstałej wytwórni „Omnia-Film".

— Dlaczego pan tak rzadko gra teraz sam w filmach?

— Po prostu dlatego, że wolę reżyserować. A gdybym, reżyserując, grał jednocześnie, to musiałbym się z konieczności rozpraszać, co odbiłoby się ujemnie tak na jednej, jak i na drugiej pracy.

— — — — — — — — — — — — — —

Powyższa rozmowa odbyła się na kilka dni przed jubileuszem Konrada Toma. Po raz drugi zobaczyłam go dopiero w dniu uroczystym na scenie Filharmonii, w otoczeniu kolegów i przyjaciół. Jubileusz udał się wspaniale. Brali w nim udział najznakomitsi aktorzy polscy. Do komitetu honorowego należeli najpoważniejsi przedstawiciele zarówno teatru, jak literatury, dziennikarstwa i filmu (Józef Śliwicki, Tadeusz Boy-Żeleński, Ryszard Ordyński, K. Borowski, A. Zelwerowicz, S. Jaracz i wielu innych). Wygłoszono wiele mów, nadesłano stosy depesz i kwiatów...

Co było jednak zasadniczą cechą uroczystości, to nie jej wspaniałość, lecz pewna nuta serdecznego ciepła, przebijająca zarówno w wygłaszanych mowach, jak i w reakcji zebranej na sali publiczności. Widać było wyraźnie, że Warszawa naprawdę szczerze jest przywiązana do swego „jedynego Toma". A przywiązaniem i sympatią ludzką może się poszczycić nie każdy choćby najbardziej szanowny i zasłużony z jubilatów.

*Irena Tomska*

## Karabiny maszynowe od właścicieli kinoteatrów

Na dorocznym walnym zgromadzeniu Związku Właścicieli Kinoteatrów w Warszawie, jednogłośnie uchwalono ufundować w jak najkrótszym czasie z ofiar członków Związku dwa ciężkie karabiny maszynowe całkowicie wyekwipowane.



## Nowy kino-teatr »Femina«

Minęły czasy kiedy przybytki X Muzy gnieździły się w starych budach jarmarcznych, pozbawionych wszelkich środków bezpieczeństwa i wygody. Dziś widz kinowy żąda maximum komfortu w wyścigu z taniością. Doceniając potrzebę chwili, dyrekcja nowopowstającego kina „Femina"— Leszno 35, poczyniła w tym kierunku odpowiednie kroki. A więc przede wszystkim kino „Femina" mieści się we własnym gmachu w tym celu wybudowanym. Sala obliczona na z górą 1.000 miejsc stanowi, pod względem architektonicznym, całość godną stolicy.

Niewątpliwie wysoki poziom repertuaru kinoteatru „Femina" zdobędzie w szybkim czasie uznanie miłośników sztuki filmowej.

## „CZEKOLADOWA WENUS" w WARSZAWIE

Józefina Baker — symbol nowoczesnego tańca i piosenki, uosobienie wdzięku i perwersji; kobieta, która potrafiła połączyć egzotykę swego pochodzenia z kulturą wielkiej artystki! Wielkiej — albowiem pamiętać należy, że Józefina Baker błyszczy w stolicy świata, w mieście, do którego ciągną wszyscy, których talent w najmniejszym bodaj stopniu odbiega od codzienności; w mieście, w którym wyrafinowany smak artystyczny publiczności, zepsutej nadmiernym podażem „gwiazd" — stawia niesłychanie wysokie wymagania.



Józefina Baker błyszczy na niebie artystycznym Paryża od lat i jest stale i ciągle jego pierwszą gwiazdą. Stała się żywym symbolem tego miasta, tak samo, jak Wieża Eiffla jest symbolem stalowym.

Jej kariera artystyczna dzieli się na dwa etapy: pierwszy — to taniec; zdawałoby się, że zsyntetyzowany szał parkietów okresu powojennego ucieleśnił się w „czekoladowej Wenus", robiącej furorę na scenie swego teatru. Potem, kiedy szał tańca minął — nastąpił renesans piosenki sentymentalnej. To drugi etap rozwoju artystycznego Józefiny. Jej piosenki o „dwóch miłościach", o „małej Chince" — popłynęły w świat na falach eteru — budząc wszędzie, dokąd dotarły — uwielbienie dla wykonawczyni.

Nic tedy dziwnego, że przyjazd Józefiny Baker (wraz z całym zespołem) odbił się głośnym echem w życiu stolicy; jej pierwszy, nieoficjalny występ miał miejsce na wytwornym przyjęciu prasowym w sali Kossaka w Hotelu „Bristol".

Jest oczywiście inna, aniżeli na ekranie, czy fotosach. Szczupła, wysoka, otulona płaszczem sobolowym, robi wrażenie damy, której przypisywać można wszystkie zalety, z wyjątkiem wybitnych zdolności artystycznych. Nie ma w niej żadnej pozy, cienia sztuczności. To nie jest gwiazda filmowa o wystudiowanych ruchach, pozująca nawet wtedy, kiedy nikt na nią nie patrzy. Józefina Baker jest swobodna, towarzyska, pełna wdzięku. Biegle włada kilkoma językami, obdarzając swego rozmówcę swym sławnym uśmiechem, w którym jej lśniąco białe zęby odcinają się jaskrawym kontrastem od czekoladowego koloru twarzy.

Pani Baker tłumaczy, że jej przejście do obozu śpiewaczek nie jest wypadkiem odosobnionym. Każdy artysta zmienia z biegiem czasu swój genre, nic dziwnego zatem, że i ona, tancerka — została pieśniarką. Ale tańca nie porzuciła. Śpiew jest obecnie potrzebą jej duszy, jak taniec potrzebą jej ciała. Najchętniej śpiewa o swoich dwu ojczyznach, z których jedna, Saint-Louis — wydała ją na świat — druga — Francja — wychowała i uczyniła sławną. Te dwie ojczyzny — to jej dwie tęsknoty — nigdy bowiem nie może osiągnąć pełni szczęścia, albowiem nie może i nie chce się jednej z nich wyrzec.

Obecnie u szczytu sławy — Józefina Baker odbywa swe ostatnie tournée artystyczne. Zamierza poświęcić się wyłącznie pożyciu domowemu. Przy tej okazji prezentuje swego rzeczywiście niezwykle przystojnego i wytwornego małżonka.

Pani Baker jest w Polsce po raz pierwszy. Przyjechała do nas z Szwajcarii, gdzie ją bardzo serdecznie podejmowano.

Warszawa bardzo jej się podoba — jej jedyna troska, czy ona spodoba się Warszawie?!.

Na pewno!

*I. Glaudan.*



## Skończyć z litanią przy wstępie do filmu

Na całym świecie rozpoczęto obecnie walkę z praktykowanym wszędzie w kinach wstępem do filmów.

Przed każdym obrazem opowiada się cierpliwemu widzowi, kto film montował, synchronizował i wywołał. Przez długie minuty przesuwa się na ekranie litania nazwisk, które nikogo nie interesują.

Publiczność interesuje się wyłącznie nazwiskami autora, reżysera i głównych wykonawców, a poza tym reszta jej nie obchodzi.

Z największym wysiłkiem nie uda się w ten sposób spopularyzować asystenta reżysera, lub kapelmistrza.

Żadna gazeta ostatecznie nie podaje nazwisk zecerów i metrampaży, którzy ją robili..

Czytelnika zainteresuje ewentualnie, kto napisał artykuł, ale na pewno nie zależy mu na nazwisku człowieka, który składał litery. Naturalnie nie znaczy to, że się nie docenia wszystkich pracowników i w filmie i w gazecie. Ale co za wiele, to za wiele!

# RZECZY CIEKAWE

Amerykańskie wytwórnie filmowe podały do wiadomości ogółu pierwsze listy produkcji 1938/39. Na podstawie tej, już dziś możemy stwierdzić w Hollywood zapowiada się ogólny spadek ilości produkowanych filmów. Podczas gdy w ubiegłym sezonie zrealizowano ogółem 504 filmy — obecne wg. „Variety" zostanie wyprodukowanych nie więcej jak 456. Kryzys jaki odczuwa stolica filmu znajduje żywy oddźwiek na szpaltach pism filmowych, jak i codziennych.

W związku z tym pisze „Time"... „Trzy przyczyny mogą istnieć. Pierwsza to zbyt wielka ilość filmów miernych, produkowanych *en gros*. Druga — to częstokroć nieszczęśliwy wybór nowych gwiazd, zwłaszcza jeśli chodzi o radio, skąd producenci amerykańscy przeważnie czerpią nowe twarze. I wreszcie — nadprodukcja ekonomiczna. Czy wyłonione powyżej przesłanki są istotne — nie wiemy. Nie wiemy również, jak przedstawiają się kalkulacje filmów klasy A, nie znamy wreszcie gaż dyrektorów wytwórni. Stwierdzić jedynie możemy, że jedna z najpoważniejszych wytwórni w Hollywood zwolniła ostatnio około 2 000 osób, należących do personelu technicznego.



Amerykański producent Sam Goldwyn powrócił do Hollywood, po odbyciu szeregu konferencji w United Artists w Londynie Fot. N. F. C.

Jeden z potentatów przemysłu amerykańskiego, Wielki Sam, jak nazywają Goldwyna, oświadczył ostatnio przedstawicielom prasy europejskiej, w czasie swego pobytu w Londynie: „W ubiegłym roku inwestowałem przeszło 2 000 000 dolarów w produkcji kilku filmów, zakrojonych na szeroką skalę, jak „Huragan" lub „Goldwyn Follies" i stwierdza z całą szczerością, że realizacja filmów tak kosztownych opłaca się jedynie w wyjątkowych wypadkach. W Hollywood za wszystko płaci się niezmiernie drogo. Gaże gwiazd jak i techników są zbyt wygórowane. Z całej plejady gwiazd, zarabiających miliony dolarów, mógłbym jedynie wybrać dwunastkę, która zasługuje pod względem kalkulacji handlowej na te astronomiczne sumy pieniędzy".

A więc z jednej strony olbrzymie gaże gwiazd, z drugiej zaś właściciele kin zmieniający stale w swej polityce ku tzw. podwójnym programom składającym się z dwuch filmów o łącznej długości wyświetlania około 3 godzin. A więc kryzys w Hollywood jest, jak wynika chociażby ze słów powyższych, faktem, nie ulegającym żadnej wątpliwości.

Prasa amerykańska nawołuje do uzdrowienia stosunków w przemyśle filmowym, atakując w niezwykle ostrej kampanii kontrakty na wysokich warunkach zawierane z gwiazdami kinematografii europejskiej oraz na niepotrzebne wyrzucanie pieniędzy na naukę tych gwiazd (vide Danielle Darrieux) języka angielskiego. „Trzymamy przez pół roku u siebie artystkę francuską, pisze „Chicago Tribune" i jakież z tego mamy korzyści. Musimy płacić jej stałą pensję, za to, że zwiedza nasz kraj, lub uczy się angielskiego i pozuje do zdjęć prasowych, podczas gdy tyle naszych aktorów umiera z głodu na ulicach wielkich miast, podczas gdy znakomite siły marnują się na deskach teatralnych w różnych stanach...".

Znany producent amerykański Dawid Selznick, pracuje w wielkim tempie nad produkcją szeregu filmów. Pogłoski, jakie od pewnego czasu obiegały prasę zarówno amerykańską jak i europejską, o wystąpieniu Selznicka z łona United Artists, były zwykłą plotką, stworzoną przez szefa propagandy jednej z wytwórni amerykańskich, znajdującej się obecnie w stadium reorganizacji. Selznick należy do t.zw. producentów niezależnych. W ubiegłym miesiącu odbył się w Hollywood zjazd akcjonariuszy Selznick International Pictures, na którym John Hay Whitney, zapewnił zebranych, że polityka niezależna jaka uprawia Selznick nadal będzie kontynuowana.

Z pośród projektowanych czterech filmów dwa już się znajdują w stadium początkowej realizacji t.zn. filmy te posiadają już obsadę całkowitą i ukończono do nich drehbuchy.

Pierwszym z tych filmów jest „Młodość w sercu" (The young in heart) pg. scenariusza opartego na noweli "The gay Banditti" drukowanej z wielkim powodzeniem w "Saturday Evening Post". W rolach głównych wystąpią tu — Janet Gaynor, Douglas Fairbanks jr. i Paulette Goddard.



Ta ostatnia otrzymała specjalne zezwolenie od Chaplina, który po raz pierwszy zezwolił jej wystąpić bez jego udziału. Drugim filmem są „Złamane serca" (Heartbreak town). Obok scenariusza, pod którym widnieje nazwisko wytrwanego specjalisty Shulberga, na uwagę zasługuje fakt wystąpienia w tym filmie pary młodocianych artystów, bohaterów słynnego już w całej Ameryce filmu „Przygody Tomka Sawyera" — dwunastoletniego chłopca Tommy Kelly i Anny Gillis. Nazwisko Tommy Kelly jest dziś równie popularne w Ameryce, jak nazwiska tej miary artystów, co np. Charles Boyer, czy Gary Cooper.

Ale à propos „Motion Picture Herald", pokazuje w ostatnim swym numerze, że artyści ci wkrótce przystępują do produkcji dwuch filmów.

Gary Cooper, wysoki chłopiec z Montany, jak go nazywają kinomani całego świata, kręcić będzie w United Artists film z życia generała Pershinga, bohatera wielkiej wojny.



Francuski aktor Charles Boyer bawi obecnie w Hollywood, gdzie nakręca 2 filmy Fot. N. F. C.

Charles Boyer, bożyszcze kobiet Ameryki i Europy, powrócił już z Europy do Ameryki, gdzie natychmiast przystąpił do opracowania roli w dwuch filmach. Pierwszy z nich nosi tymczasowy tytuł „Algier" i oparty został na scenariuszu znakomitego reżysera Julien Duviviera, tak przynajmniej podaje „Showmen's Trade Rewue". Drugi zaś przedstawia się całkiem rewelacyjnie. Otóż jeśli wierzyć poważnemu pismu angielskiemu „Film Picturial", Charles Boyer grać będzie w sztuce Sachy Guitry, którą to sztukę znakomity dramaturg francuski napis specjalnie dla Waltera Wangera, producenta United Artist. Sztuka nazywa się „The illusionist".

*A. Ungurian.*

## Uczestnicy plebiscytu o tytuł „Królowej sceny polskiej" otrzymują premie

Stosowanie do zapowiedzi w poprzednich numerach, uczestnicy plebiscytu o tytuł „królowej sceny polskiej" (wynik, którego ogłoszony został w nr 3 z dnia 28 lutego 1938 r.) otrzymuja liczne premie, rozlosowania których dokonało jury redakcyjne.

A. Alberg, Lubartów — **pióro wieczne firmy „Sidney".**

Janina Abramska, Warszawa, Krucza 40 — **2 ulgowe bilety do kina „Roma".**

Władysław Adaszewski, Warszawa, Madalińskiego 55 m. 32 — **2 ulgowe bilety do teatru.**

Maria Antkowska, Poznań, Śniadeckich 17/6 — **fotos gwiazdy filmowej.**

Aleksander Aronwal, Warszawa, Dzielna 31/4 — **fotos gwiazdy filmowej.**

Berta Bergman, Warszawa, Chłodna 18 — **flakon wody kwiatowej firmy W. Kruszecki.**

Artur Bruss, Warszawa, Dzielna 49/15 — **2 ulgowe bilety do teatru.**

Z. Bassin, Łódź, Brzezińska 25 — **flakon wody kwiatowej „Le Narcisse Bleu".**

Zygmunt Brandszteter, Bielsk, Warszawska 12 — **flakon wody kwiatowej „Le Narcisse Bleu".**

Stanisław Berndt, Warszawa, Puławska 41/15 — **2 ulgowe bilety do teatru.**

Z Bednarowicz, Warszawa, Olkuska 12/1 — **2 ulgowe bilety do teatru.**

Wanda Borowcówna, Warszawa, Fałęcka 12 — **2 ulgowe bilety do teatru.**

Erna Brussowa, Warszawa, Dzielna 49/15 — **fotos gwiazdy filmowej.**

Bronisława Bożkówna, Poznań, Dabrowskiego 15 — **fotos gwiazdy filmowej.**

Feliksa Cieplińska, Warszawa, Budziszyńska 32/1 — **fotos gwiazdy filmowej.**

G. Czaplińska, Sosnowiec, Piłsudskiego 11 — **flakon wody kwiatowej „Le Narcisse Bleu".**

J. Cweibaum, Warszawa, Ciepła 8/7 — **2 ulgowe bilety do teatru.**

Włodzimierz Cytowicz, Warszawa, Dobra 62/19 — **2 ulgowe bilety do teatru.**

Zenon Cieślik, Łódź, Ogrodowa 28 — **fotos gwiazdy filmowej.**

Stanisław Demidowicz, Podzamcze pocz. Maciejowice — **fotos gwiazdy filmowej.**

R Frydman, Siedlce, Piekna 5 — **flakon wody kwiatowej „Le Narcisse Bleu".**

J. Filikowski, Nowy-Sacz, Rynek 20 — **pudełko pudru firmy „Tho Radia".**

E. Grossmanówna, Łódź, 6-go Sierpnia 76 — **flakon wody kwiatowej firmy „Le Narcisse Bleu".**

Aniela Horzowicz, Warszawa, Chełmżyńska 34/9 — **2 ulgowe bilety do teatru.**

J. Janecki, Warszawa, Krak.-Przedm. 26/18 — **fotos gwiazdy filmowej.**

Adam Konstantyner, Warszawa, Żelazna 37 — **2 ulgowe bilety do teatru.**

Feliksa Kołakowska, Warszawa, Lewicka 15/15 — **2 ulgowe bilety do teatru.**

Inż. J. Kraus, Katowice, Krakowka 19/4 — **fotos gwiazdy filmowej.**

Bolesław Kordysz, Pruszków, Cedrowa 20 — **fotos gwiazdy filmowej.**

Józek Kamiński, Warszawa, Chłodna 36 — **flakon wody kwiatowej firmy W. Kruszecki.**

Stefania Łohazianka, Krynica-Zdrój, Kano Dr Hnatyszka — **fotos gwiazdy filmowej.**

Zofia Modzelewska, Poznań, Dąbrowskiego 15 — **fotos gwiazdy filmowej.**

Iza Mińska, Włochy pod Warszawą, Sieradzka 56/11 — **aparat fotograficzny „Baby Browne" firmy „Kodak".**

Mania Mirska, Warszawa, Żelazna 84/21 — **2 płyty firmy „Odeon".**

J. Nowicki, Warszawa, Żabia 5 — **pudełko pudru firmy „Tho Radia".**

J. Nussbaum, Kraków, Sebastiana 11 — **fotos gwiazdy filmowej.**

F. Opaczewska, Łódź, Piotrkowska 58 — **pudełko pudru firmy „Tho Radia".**

J. Oberlenderówna, Zakopane, Dworek — **flakon wody kwiatowej firmy W. Kruszecki.**

Mieczysław Okrasa, Warszawa, Jerozolimska 43 — **1 pióro wieczne firmy „Sidney".**

Jadwiga Piotrowska, Kraków, Krupnicza 14 — **pudełko pudru firmy „Tho Radia".**

Klemens Palczak, Kraków, Zwierzyniecka 7 — **fotos gwiazdy filmowej.**

T. Pitkiewicz, Nowy-Sacz, Narutowicza — **słoik kremu firmy „Deva".**

Aleksander Robak, Warszawa, Warecka 11 / **2 ulgowe bilety do teatru.**

Zbigniew Rypiński, Łódź, Kopernika 12 — **flakon wody kwiatowej firmy „Le Narcisse Bleu".**

H Świetochowski, Warszawa, Madalińskiego 49/10 — **2 ulgowe bilety do teatru.**

Władysław Śmigielski, Katowice, Kościuszki 46/2 — **fotos gwiazdy filmowej.**

Zdzisław Stroński, Warszawa, Narbuta 46/6 — **2 ulgowe bilety do kina „Roma".**

Zofia Słomczyńska, Warszawa, Długa 53/8 — **2 ulgowe bilety do teatru.**

St Wesołowski, Warszawa, Sosnowa 12 — **słoik kremu do rak firmy „Deva".**

Stefan Walczak, Warszawa, Śniadeckich 22/5 / **2 ulgowe bilety do kina „Roma".**

Janina Wojtycka, Nowy Sacz, Matejki 17 — **słoik kremu do rak firmy „Deva".**

Maria Wiesenberg, Warszawa, Puławska 36 — **flakon wody kwiatowej firmy „Gilot".**

Gustaw Zweig, Kraków, Miodowa 7/3 — **fotos gwiazdy filmowej.**

*

Dalszy ciag listy osób, którym przypadły premie będzie podany w następnym numerze.

Rozlosowane premie zostaną zainteresowanym przesłane za pośrednictwem poczty pod adresami wskazanymi na kuponach plebiscytowych.



# Z SAL KONCERTOWYCH

**Recital Ryszarda Wernera.**

Minęły już czasy, kiedy pod wpływem muzyki Chopina wrażliwe damy mdlały, lub co najmniej ocierały łzy, tak je rozmarzały i wyprowadzały z równowagi nieśmiertelne dzieła Mistrza. Inne też było wykonanie w okresie tego „fin de siècle" romantyzmu. Artysta, chcąc wywołać wyżej podany efekt, grał w przyćmionej sali, usiłował improwizować, nadużywać rubret w karygodny sposób.

Dziś mamy więcej szacunku dla naszego romantyka, nie pozwalamy na taką egzaltację. Chopin sam przez się jest dosyć uczuciowy i łzawy, a wykazanie „ja" artysty nie może polegać na rzekomym wzmożeniu tego uczucia, jako wynik własnego przeżycia, a w gruncie rzeczy wykoszlawieniu jego i zbanalizowaniu.

Dziś jest raczej tendencja, jeśli nie do „odromantyzowania" Chopina, to w każdym bądź razie do zobiektywizowania. Zresztą, tak jak i we wszystkim, należy zachować umiar, a łączy się to z wyczuciem stylu, ducha i intencji kompozytora.

A tego było brak Ryszardowi Wernerowi, który wystąpił w sali konserwatorium z recitalem, poświęconym utworom Chopina. (W programie: 12 etiud z op. 25 i op. 10, sonata b-moll, nocturne cis-moll, 3 mazurki, grande valse As-dur, polonez fis-moll).

Doskonała technika, jaką wykazał zwłaszcza w etiudach, nie pokryła pustki i bezduszności, jaka cechuje tego pianistę. Podchodził on do Chopina zbyt trwożliwie, tak jak gdyby bał się naruszyć świetości i wzniosłości budowli jego dzieł. Patrzył jeno i podziwiał z zewnątrz, a nie śmiał wkroczyć do wewnątrz, aby poznać i napawać się istotnymi Jego wartościami. Widać było pewną nerwowość, przeważał, czasem zupełnie niespodzianie, styl buntowniczy, tytaniczny. Ten recital chopinowski był wynikiem pracy mózgu artysty, gdyż niejednokrotnie, zwłaszcza w etiudach, chciał nam pianista pokazać jakąś nową koncepcję, dotąd nieodkrytą (częste szukanie melodii w lewej ręce) i to należy pochwalić, ale czyż do Chopina należy podchodzić od strony rozumowej? Sądzę, że serce w tym wypadku ma więcej do powiedzenia, niż głowa...

**Georges Georgescu — Robert Casadesus.**

Nie można się pogodzić z myślą, że tegoroczny sezon koncertowy zbliża się ku końcowi, widząc na afiszach tak wspaniałe nazwiska, jak Georgescu—Casadesus—Hofmann!

Dwóch pierwszych artystów podziwialiśmy w ubiegłym koncercie piątkowym w Filharmonii. Rozpoczęto VII Symfonię A-dur Beethovena.

Zaiste, było to rzadkie, jak na nasze warunki, wykonanie tej pięknej, wyjątkowo pogodnej (prócz II części o charakterze smutno-żałobnym) pełnej tanecznych rytmów symfonii. Widać było, że członkowie orkiestry robili nadludzki wysiłek, chcąc dorównać poziomem swemu genialnemu dyrygentowi G. Georgescu, który mimo swej wielkiej indywidualności — wiernie oddał nam Beethovena. Może, jeśli chodzi o tempo, trochę przecenił możliwości naszej orkiestry, natomiast, jeśli chodzi o pełnię brzmienia, jędrne forta, były one wręcz rewelacyjne. Usłyszeliśmy również 2 części ze „Suity symfonicznej" — Romana Palestra: „Uwerturę" i „Preludium i Fugato" — wykonane po raz pierwszy. Tym razem jednak nasz wybitny, młody modernista zawiódł, dając utwór błahy, niepoważny i nieprzekonywujący w swojej treści, mimo ciekawej jak zwykle, pełnej blasku instrumentacji i bardzo zawiłej, może aż nadto skomplikowanej rytmice.

Solista koncertu Robert Casadesus należy do rzędu pianistów, dla których wirtuoseria stoi na pierwszym planie. W odegranych przez się dwóch koncertach: Beethovena Es-dur i, niezwykle trudnym i dlatego rzadko słyszanym, koncercie na lewą rękę Ravela, — zaimponował niebywałą techniką, bogactwem barwy dźwiekowej i całkowitym opanowaniem instrumentu, co jednak nie kwalifikuje go do miana pełnego artysty.

Żywiołowością i zdobywczością można pochwalić się w koncercie Es-dur Beethovena, ale należy je stosować z umiarem. Wprawdzie to koncert o charakterze heroicznym (dla Beethovena tonacja Es-dur miała ten charakter), ale należy odróżnić heroizm Beethovena od heroizmu Liszta, czy Wagnera. Mniej w nim patosu, jest to jakby naturalny rys charakteru Beethovena i dlatego wymaga więcej prostoty i powściągliwości.

*Kwinta*

Kierownik adm. wydawnictwa: Emmi Goldflus przyjmuje interesantów od 9-ej do 11-ej rano w lokalu redakcji Al. Jerozolimskie 43 m. 40, tel. 11 95-07.

Ceny ogłoszeń: 1 mm. szer. 1 szp. (układ 5-cio szpaltowy) w tekście—40 gr. Pierwsza i ostatnia strona—50 gr. Dwukolorowe 50 proc. drożej.

Prenumerata rocznie zł. 3.60, ½ rocznie zł. 1.80, kwart. 90 gr.

Za granicą numer 35 gr. Prenumeratę przyjmują wszystkie oddziały P.K.O. Konto czekowe Nr. 21532.

# MIGAWKI TANECZNE

W II akcie „Manewrów jesiennych", świeżo wystawionych w teatrze Wielkim jest sporo tańca, który bardzo podoba się nie tylko publiczności, ale i fachowym krytykom. Mówię „fachowym", bo dotychczas przeważnie w sprawach tańca zabierali głos jedynie krytycy muzyczni, którzy nie mają o tej sztuce żadnego pojęcia. Nie tak dawno dopiero musiałem jednemu z nich, okazującemu, zresztą, maximum dobrej woli, kłopotliwie tłumaczyć różnicę między rytmem tanecznym i muzycznym, tak jasno i dobitnie, zresztą, wyłożoną w I tomie „Zbioru pląsów" Zofii Kwaśnicowej, który świeżo ukazał się na półkach księgarskich.

Jak jest jednak naprawdę na Manewrach Jesiennych"... Najpierw „adagio". Baletmistrz Zajlich ułożył je ściśle klasycznie. Widać było również w zespole chlubne ambicie dorównania Polskiemu Baletowi Reprezentacyjnemu. Udało się to jedynie Karczmarewiczównie, która dziś w dziedzinie takńca klasycznego nie wiele ma sobie równych w Polsce. Niestety, między tą tancerką a reszta zespołu teatru Wielkiego jest w dziedzinie klasycyzmu przepaść ogromna. Jeszcze w walcu nie źle zaprezentowała się szóstka: Selmówna, Maculewiczówna, Ładowska, Siemiradzka, Kolesińska i Leporini, z których pierwsze dwie, zwłaszcza, wydają się naprawdę utalentowane, ale stanowczo za mało spożytkowane. To stary i bardzo zły system; wskutek niego zmarnowało się już wiele cennych sił w zespole baletowym teatru Wielkiego. Gdy się widzi coś zdolniejszego, trzeba popierać, wysuwać, dodawać bodźca do pracy. Selmówna, zwłaszcza, ale i Maculewiczówna — to nie przeciętne talenty, ale jednak nie otrzymują jeszcze solowych partyj — nie słusznie. Zamiast iść naprzód, cofają się i zniechęcają. Oby nie podzieliły losu mnóstwa innych zmarnowanych talentów. Trzeba zadać sobie troche wysiłku i ułożyć im role popisowe.

W tańcu cygańskim duet czołowy znalazł odpowiednią obsadę w Szatkowskiej i Dobieckim, a w czardaszu dwa duety czołowe były również trafnie obsadzone przez Jedyńską z Dobieckim oraz Vetterównę z Baliszewskim. Wszyscy oni dali dużo temperamentu i werwy tanecznej.

Największe powodzenie zyskał wszakże taniec „trzech gracyj" w wykonaniu malutkich „cudownych dzieci" ze szkoły baletowej: Koszałkówny, Mosiejczykówny i Skrzypkówny. Te małe gwiazdeczki tańczyły świetnie i bodaj rzeczywiście kiedyś zasłyną, bo są nie wątpliwie bardzo zdolne. Niestety, pamiętamy nie mniej piękne sukcesy u innych „dzieci", które dziś już są dorosłymi tancerkami i... do niczego. A dlaczego? Bo zaniedbano odpowiednio je wychować tanecznie. Kwestia energiczniejszego i umiejętniejszego, bardzo staranniejszego i pieczołowitego szkolenia naszego narybku tanecznego staje się sprawą z dnia na dzień bardziej palącą. Szkoła baletowa powinna być upaństwowiona i prowadzona tak poważnie, jak Konserwatorium Muzyczne i Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej. Nie zapominajmy, że balet jest nieocenionym organem propagandy państwowej i powinien być należycie ceniony.



Wracając do całokształtu układów tańców w „Manewrach jesiennych", należy jeszcze stwierdzić jedno. O ile tańce solowe i duety dają jeszcze pewną koncepcję i myśl, o tyle tańce zespołowe są zupełnie zaniedbane. Nie ma w nich żadnego rysunku, żadnej konstrukcji. Tak już dziś nie można. Zespół jest nie mniej ważny, niż soliści. Tło nie powinno być martwe, lecz żywe. Cały zespół powinien być traktowany, jak orkiestra symfoniczna. Każdy instrument ma tam swoją partię, więc i tu każda jednostka powinna mieć swój odrębny „głos" taneczny, który dopiero we współdźwięku da zestrojoną całość. Tego, niestety, nie było w układach tańców z „Manewrów jesiennych" i jeżeli tak ma być zawsze, to źle. Minęły te czasy, kiedy można było podsuwać widzom byle jaki układ zespołowy. Od czasu, jak Warszawa widziała kolejno Joosa, Cieplińskiego i Niżyńską, nie zechce już toolerować układów bezmyślnych — bez konstrukcji, bez planu. Oczywiście, dobre układy wymagają wytężonej pracy. Ale to już trudno...

Czas już też pomyśleć o przyszłym sezonie, choć zarysy jego są bardziej, niż mgliste. Decyzja już właściwie powinna być. A jeszcze dziś nie wiadomo, kto właściwie będzie prowadził Operę.

Jeżeli chodzi o jej balet, to najlepiej było by wcielić do niego cały Polski Balet Reprezentacyjny, który od czasu do czasu mógł by robić wypady zagraniczne. Na miejscu zawsze pozostało by dość osób, by zaspakajać tutejsze potrzeby, czy to w postaci wkładek operowych czy nawet całych baletów. Teatr Wielki zyskał by też w osobie Bronisławy Niżyńskiej znakomitą baletmistrzynię i świetną pedagogiczkę (widzimy, jak wiele zdołała zrobić w ciągu krótkiego czasu z zespołu, którym dysponowała). Było by to idealne rozwiązanie sprawy Polskiego Baletu Reprezentacyjnego.

Ale nawet niezależnie od losów Opery należało by mu zapewnić dalszy byt. Nie po to przecież zdobyło się tyle kapitału moralnego i propagandowego, by go roztrwonić wtedy właśnie, gdy powinien zacząć pięknie owocować. W tej dziedzinie również pilna decyzja jest rzeczą jak najbardziej nieodzowną. Dziś już powinien być gotów cały repertuar dalszych pięciu baletów, by najpóźniej od 1 lipca można było przystąpić do pracy nad przygotowaniem ich. Balety już powinny być zamówione oddawna, a komponowanie ich w tej chwili już na ukończeniu. Jeżeli się tego nie zrobiło do tej chwili, jest to karygodnym zaniedbaniem. „Periculum in mora" jest tu groźniejsze, niż gdziekolwiek indziej...

*Henryk Liński.*



Redaktor naczelny: WIESŁAW BOŃCZA-TOMASZEWSKI. Drukarnia „SIŁA", Warszawa, Towarowa 2/4, tel.: 3-34-86 i 3-34-87. Wydawca: JÓZEF KISELHOF